

Jak słuchają krytyki

Zeszłoroczny festiwal pod wieloma względami był naprawdę udany: solidny program, świetni goście, dobra atmosfera. Trzeba by zły woli, by skupiać się na tym, co nie wyszło. Tak wtedy uważałem, przekonując sam siebie, że sedno wszystkich problemów Kamery Akcji leży w niedofinansowaniu, a ekipa zasługuje na kredyt zaufania – pomimo tego, co wiedziałem o kulisach imprezy, pomimo niedociągnięć, które wynagrodziła mi satysfakcja z solidnego programu. Co się jednak dzieje, gdy program nie jest dobry? Co jeśli ekipa organizatorów nie uczy się na błędach? Co zostaje z samego festiwalu, uwielbianego przez branżę i krytyków do tego stopnia, że nikt nie powie o nim publicznie złego słowa?

(Mikro)świat debat

Przeglądając sociale festiwalowych bywalców, trudno znaleźć słowa krytyki pod adresem Kamery Akcji czy organizatorów. Paradoks polega na tym, że w rozmowach prywatnych jest zupełnie odwrotnie. Sam zresztą stanowią część tego problemu i biję się w pierś, przyznając do hipokryzji. Przychodzi moment, w którym należy przestać udawać, że król nie jest nagi. Nawet jeśli to trudne, bo Festiwal Kamera Akcja pozostaje jednak imprezą z sercem po właściwej stronie. Nastawienie na krytyków, podkreślenie ich roli w filmowym ekosystemie, panele i warsztaty – te rzeczy nadal sprawiają, że FKA jest imprezą w skali kraju unikatową. Idealną okazją do edukacji, do dyskusji, do rozwoju. Tegoroczny zestaw wydarzeń jedynie to potwierdza. Dyskusja „Drama(t)” była okazją do zderzenia perspektyw twórczyni, producentki i krytyczki w debacie o hejcie, kontrowersjach, kulturze rozmowy w dobie internetu i samozwańcych krytyków filmowych. Dyskusje, w których udział brała Kamila Dorbach, dyrektorka Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej, pozwoliły widowni lepiej zrozumieć perspektywę obecnego kierownictwa PISF. Nie wszystkie panele zbierały dobre opinie wśród festiwalowiczów, z którymi rozmawiałem, ale nie jest to wina organizatorów. Dobór tematów, gości – to wszystko zasługuje na docenienie. Widać, że ekipa wie, co się dzieje w branży, jaki panuje klimat oraz co może zaangażować publikę. Chociaż (dało się to odczuć podczas tegorocznej edycji) dla przytłaczającej większości uczestników – twórców, krytyków i studentów kierunków filmowych, czyli ludzi zdecydowanie lepiej orientujących się w świecie kina niż przeciętny widz – poszczególne rozmowy mogą wydać się nieco zbyt pobieżne, za mało kompleksowe. To zresztą wpisuje się w jeden z głównych problemów FKA: kryzysu tożsamości. Festiwal od dawna nie do końca wie, na czym mu zależy bardziej: głośnych, medialnie pompowanych filmowych wydarzeniach czy hermetycznej, bardziej nastawionej na intelektualną dysputę imprezie branżowej. Kamera pewnie chciałaby być jednym i drugim. Biorąc jednak pod uwagę finansowe i logistyczne ograniczenia oraz organizacyjne wpadki, festiwal regularnie pożera sam siebie, goniąc za niemożliwym.

Programowy niesmak

Skoro jedną z aspiracji jest to, by proponować widowni dobry program filmowy, przyjrzyjmy się tegorocznej selekcji. Nie widać pomysłu, szerszej wizji, za to w oczy rzuca się złe zarządzanie budżetem. Nie da się inaczej nazwać sytuacji, w której festiwal rok w rok mający problemy finansowe z powodu niewystarczającego wsparcia ze strony miasta, inwestuje część budżetu w tak absurdalne tytuły jak „Smashing Machine” – film, który premierę w całym kraju miał na tydzień przed FKA. Został umieszczony w największej sali (Monopolis), która świeciłaby pustkami, gdyby z projekcją nie połączony był DKF – niestety, 20-minutowy, czyli niedorzecznie krótki, co po fakcie przyznała również dyrekcja festiwalu. „Ostatni wiking”? – premiera tydzień przed festiwalem. „Skomplikowani”? – prawie trzy tygodnie. „Sirât”? – ponad miesiąc. „Chopin, Chopin”? – dwa

tygodnie. „Franz Kafka” Agnieszki Holland miał premierę dzień po pokazie festiwalowym, któremu powinna towarzyszyć pompa – z obecnością twórców i aktorów, zwłaszcza że nowy obraz Holland otwierał festiwal. Z ekipy nie pojawił się nikt. Może dlatego, że reżyserka była w Łodzi tydzień wcześniej... na pokazie filmu w kinie Charlie. Widać jak na dłoni, że „Franz Kafka” był awaryjnym pomysłem na film otwarcia FKA.

„Dom dobry” pokazany został na festiwalu ponad dwa tygodnie przed premierą i towarzyszyło mu spotkanie z Wojciechem Smarzowskim. Widać też było po społeczności festiwalowej, że perspektywa seansu nowego dzieła twórcy „Wołynia” pozostaje ekscytująca. „Ministranci” byli natomiast prawdziwą przedpremierą (prawie miesiąc przed wejściem do kin), na dodatek też uhonorowaną obecnością reżysera Piotra Domalewskiego.

Z tytułów zagranicznych zdecydowanie najlepszą częścią programu festiwalu był przegląd kina węgierskiego i filmy rumuńskie, tytuły rzadko dostępne w Polsce (lub wcale). Postawienie na te kinematografie docenia Filip Grzędowski, filmoznawca, doktorant Uniwersytetu Łódzkiego oraz specjalista w Dziale Wydarzeń Filmowych i Współpracy Międzynarodowej Narodowego Centrum Kultury Filmowej w Łodzi. Przegląd filmów z Węgier i Rumunii nazywa najmocniejszym punktem festiwalu i „wykroczeniem poza premierowy repertuar”.

Filmowym rarytasem była też retrospektywa i wizyta rumuńskiego reżysera Bogdana Mureșanu, twórcy ważnego i intrygującego, ale relatywnie mało znanego zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie. FKA zapewniło widzowi nie tylko możliwość poznania jego najważniejszego dzieła „Nowy Rok, który nigdy nie nadszedł”, ale przede wszystkim uczestnictwa w spotkaniu z reżyserem.

Pozostałe filmy to „kamerowy” standard. Kilka tytułów, które już odwiedziły najważniejsze polskie festiwale, zwłaszcza Nowe Horyzonty. Zabrakło mi jednak w tym roku czegoś, co oferowałby jedynie FKA, w stylu zeszłorocznego „Beating Hearts”. Lub tytułu, który polskiej dystrybucji na pewno nie dostanie. Jak widać, tegoroczne wizyty organizatorów na zagranicznych festiwalach nie przyniosły szczególnych odkryć. Obecna w programie klasyka zawsze jest przyjemnym dodatkiem, nawet jeśli i ona jest bardzo skromna. Po zeszłorocznej retrospektywie Claude’a Sauteta i szeregu wyjątkowych tytułów różnych reżyserów (Hitchcock, Lubitsch), tym razem czułem rozczarowanie. Z drugiej strony, jeśli w programie trafia się coś wyróżniającego się na tle ofert innych festiwali, to FKA nie potrafi tego wykorzystać. Pokazuje to „Lesbijska księżniczka z kosmosu” – film, który interesował mnóstwo osób, został rzucony na ostatni seans w najmniejszej i najgorzej dostępnej sali w Muzeum Kinematografii. Wspominane „Smashing Machine” zajęło salę największą, chociaż powinno (tak jak inne pokazy towarzyszące DKF-om) dostać bardziej kameralną przestrzeń, gdzie byłby czas na dyskusje. Szczególnie że w tym samym momencie na sali w Muzeum Kinematografii leciał jeden z bardziej wyrazistych tytułów programu, „Błękitny szlak”. Na dramatyczne decyzje logistyczne uwagę zwracają moi ankieterzy, odpowiadający anonimowo na pytania o tegoroczną edycję. Pytania rozesłałem do redakcji największych polskich serwisów współpracujących z FKA, a także studentów i przedstawicieli kół naukowych. Oto przykładowe wypowiedzi:

Zero polskich premier, ciekawe filmy nakładające się na siebie, istotne punkty programu umieszczane albo rano, albo wieczorem, tak, że pokrywają się z oficjalnymi afterami festiwalu.

Dobra selekcja filmów, ale kolejny rok z rzędu kiepskie rozłożenie godzinowe seansów. Duża część najciekawszych filmów jest pokazywana w piątek przed 17, w czasie, w którym duża część osób nie dociera jeszcze na festiwal.

Rozłożenie godzinowe było naprawdę w porządku, ale repertuar mógłby być bardziej świeży lub przedpremierowy.

Uważam, że tegoroczny program był mało ambitny i po prostu nieciekawym. Filmy, które publiczność mogła zobaczyć, miały już wcześniej swoje premiery na festiwalach Nowe Horyzonty czy w Gdyni. Rozłożenie godzinowe paneli było beznadziejne – jak już pojawiały się ciekawe seanse, były one o bardzo wczesnych godzinach.

Do poważniejszych wpadek organizacyjnych należy zaliczyć sytuację, w której jeden z segmentów – Best of Szkół Filmowych – miał w harmonogramie czas trwania 60 minut, a finalnie trwał 120, tym samym uniemożliwiając potencjalnym widzom zdążenie na któryś z następujących zaraz po dużych tytułach (w tym chyba największego wydarzenia festiwalu poza Smarzowskim). Nikt za to nie przeprosił.

Niewdzięczna współpraca

Problem z komunikacją i przejrzystością jest zresztą czymś dla Kamery Akcji naturalnym. Sytuację rok w rok ratują zmieniający się specjaliści od kontaktu z mediami (lub jurorzy poszczególnych konkursów, szczególnie chwalono osoby koordynujące Authors Spotlight), w tym roku jednak ktoś taki pojawił się w ostatniej chwili. Zdanie to podzieli szereg redakcji działających na zasadzie partnerstwa medialnego z Kamerą Akcją.

Nie jest to może problem na dużą skalę, ale rzecz, która wpływa na zaufanie i kulturę współpracy na linii Festiwal-media. Wszyscy o tym wiedzą, że poszczególni partnerzy nie są traktowani równo, a przekaz informacji też nie należy do uczciwych. Panuje kompletny chaos w kwestii honorariów i współprac finansowych – przyznaje czołowy redaktor dużego serwisu internetowego.

Tak, dochodziło [do problemów komunikacyjnych]. Pozwolę sobie wymienić między innymi: ustalanie rzeczy na ostatnią chwilę, nawet na kilka minut przed startem wydarzenia, bądź trudności w dogadaniu się odnośnie warunków prowadzenia wydarzenia – wtóruje mu inny.

Podobny niesmak mogą wywołać połowe warunki organizacji wywiadów i przestrzeni dla mediów. Kamera Akcja od lat cierpi na skutek braku festiwalowej przestrzeni. Jasne, festiwal ma swój „klub festiwalowy” Niebostan, ale jest on znacznie oddalony od miejsc projekcji. Przy części sal kinowych nie ma miejsca, by usiąść, porozmawiać, czegoś się napić. Nie ma przestrzeni na dyskusje między starymi znajomymi, na nawiązywanie nowych relacji. W pytaniu ankietowym, w którym poprosiłem o wskazanie największego problemu z festiwalem, zdecydowanie przoduje kwestia przestrzeni. Nie ma miejsca dla krytyków i dziennikarzy na spokojną pracę i przygotowanie relacji. Jedyną namiastką to kawiarnia Szkoły Filmowej. Restauracji i kawiarni w Monopolis nikt nie potraktuje jako poważnej alternatywy: szczególnie że przynajmniej połowa festiwalowych bywalców to studenci. Dziennikarze muszą przeprowadzać wywiady w korytarzach i holach, tudzież w szatni (na dodatek w Monopolis są olbrzymie problemy z połączeniem internetowym). Należy tu oddać sprawiedliwość wolontariuszom i pracownikom festiwalowym znajdującym się na pierwszej linii frontu, bo w tych niedorzecznych warunkach dają z siebie wszystko, by zapewnić dziennikarzom, a przede wszystkim gościom jakkolwiek akceptowalne warunki.

Łódź dysponuje przecież szerokim dostępem do przestrzeni biurowej i medialnej na wynajem po rozsądnych kosztach. Istnieją też biblioteki, na czele z Mediateką, udostępniającą na znakomitych warunkach sale i sprzęt. Ich niewykorzystanie może wynikać z dwóch rzeczy: niedbałości lub obsesyjnego oszczędzania na niewłaściwych rzeczach.

Świat krytyki

Jak jednak tegoroczna edycja poradziła sobie z tym co, najważniejsze, czyli promocją krytyki

filmowej? Wiele rzeczy pozostaje zrealizowanych bezbłędnie, na czele z przeprowadzonymi jak co roku konkursami dla młodych twórców. To znakomita okazja nie tylko, by zaprezentować swoje prace ceniowemu gronu krytyków i publicystów, ale również, by pozwolić młodym twórcom poznać bardziej doświadczonych kolegów. O wpływ konkursu Krytyk Pisze na przyszłość polskiej krytyki spytałem jedną z juryerek Maję Pawlikowską, scenografkę, kostiumolożkę i absolwentkę łódzkiej ASP.

Konkurs, mam nadzieję, ma duże realne przełożenie. Jest pewnego rodzaju pomostem, platformą, łączy pasjonatów ze światem branżowym, biznesowym. To świetna platforma, również networkingowa. To fantastyczne, że ten festiwal zachęca do rozmowy między twórcami różnej maści, o różnym doświadczeniu. Świat kultury pisania o filmie bardzo się zmienił, od akademickiego pisania po takie bardziej wiralowe. Pojawiały się paraakademickie teksty, ale też teksty, które spokojnie mogłyby być odczytane w formie audiobooka.

Kamera Akcja otwiera również liczne możliwości do dyskusji o problemach współczesnej krytyki i kultury dyskusji. Pawlikowska mówi dalej o problemach, z jakimi mierzy się branża i o tym, jak FKA może pomóc w ich rozwiązaniu.

No właśnie ta przepaść [która jest problemem] tutaj jest spajana. Spotykają się dwa podejścia, pokolenia ludzi starszych i młodszych, bo są dwa języki, dwie kultury pisania i myślę, że to jest główny problem. Wszyscy posługujemy się językiem polskim, ale z drugiej strony mam poczucie, że ten język jest bardzo różny w ujęciu poszczególnych pokoleń. Tu widzę ogromnie niedogadanie się między nami, ale dzięki festiwalowi mamy szansę na nawiązanie nici porozumienia. Problemem jest komunikacja. Wszyscy chcemy mówić o tym samym, ale język ma tyle różnych poziomów, że zaczął nas trochę zawodzić.

Festiwal Kamera Akcja jest ważną platformą, ale czy realizuje własny potencjał? Gdy spytałem kilku przedstawicieli społeczności studenckiej czy wydarzenia w ramach FKA rzeczywiście przyczyniają się do pogłębienia ich wiedzy i kompetencji, zdania podzielone były równo po połowie. „Akcja filmoznawca” i warsztaty z Jakubem Popieleckim cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem. Na niektóre wydarzenia przyszło nawet za dużo osób. Pytanie, czy festiwal nie powinien skupić się właśnie na tym i kosztem kilku zbędnych filmów zaproponować większą liczbę warsztatów z ciekawymi gośćmi, przenieść ciężar dyskusji i pracy również na inne formy wypowiedzi, a nie tylko recenzje. Podobne przedsięwzięcia mogłyby chociaż trochę wynagrodzić brak przestrzeni do indywidualnej pracy. Przy planowaniu dalszych wydarzeń i paneli należy też zwrócić uwagę na lepsze rozłożenie ich w czasie. Uczestnicy podkreślali, że ciekawe pokazy filmowe wykluczają często obecność w warsztatach. A bądźmy szczerzy, mało który student czy krytyk poświęci interesujący go film (w cenie karnetu) na rzecz podstawowego kursu pisania recenzji. Rozwiązaniem jest lepszy rozkład lub faktycznie konkurencyjne propozycje. Zapytany o to, jakich treści brakuje na festiwalu, Filip Grzędowski odpowiedział:

Spotkań wokół tego, jak krytykować – jak pisać i mówić o filmach negatywnie. Dyskusji krytyków po bieżących seansach, szczególnie jeśli mają bardzo rozbieżne opinie o wybranym filmie.

Do jakości festiwalu nie ma zarzutów Karolina Majka, studentka łódzkiego filmoznawstwa i przewodnicząca Koła Filmoznawców:

Zdecydowanie największą siłą Festiwalu Kamera Akcja jest jego społeczność. Festiwal oprócz filmów jest niezwykłym miejscem spotkań ludzi z różnych gałęzi branży filmowej – dziennikarzy. Krytyków, producentów czy studentów. Dzięki dyskusjom oraz warsztatom wszyscy możemy spotkać się w bardziej kameralnym gronie i po prostu ze sobą porozmawiać. Każdą edycję festiwalu kończę z listą wielu wspnianych nowo poznanych ludzi.

Sam fakt szczególnego podejścia do krytyków, jaki proponuje FKA bez wątpienia w oczach wielu potrafi wynagrodzić liczne niedociągnięcia. I za wszystkie wspomnane warsztaty czy spotkania, festiwal trzeba chwalić i doceniać. Po prostu zamiast osiadać na laurach, uczestnicy oczekują, że trwający już prawie dwie dekady festiwal spróbuje przełamać przyzwyczajenia i wykazać więcej kreatywności.

Co dalej?

Właśnie, co dalej? Zapewne kolejna edycja, z mniej lub bardziej udanym programem, świetnymi spotkaniami, chaosem organizacyjnym, logistyczną frustracją i irytacją pomieszaną z satysfakcją, że o krytyce nadal ktoś myśli. Może czeka nas jednak miła niespodzianka, a organizatorzy pokażą, że słuchają słów krytyki. Kamera Akcja pozostaje w sercach kinomanów jedną z najważniejszych imprez w Polsce i szkoda byłoby to zmieniać.

Jakub Marciniak